Nr. 8 We Lwowie, 15 kwietnia 1933 Rok 55

ŁOWIEC

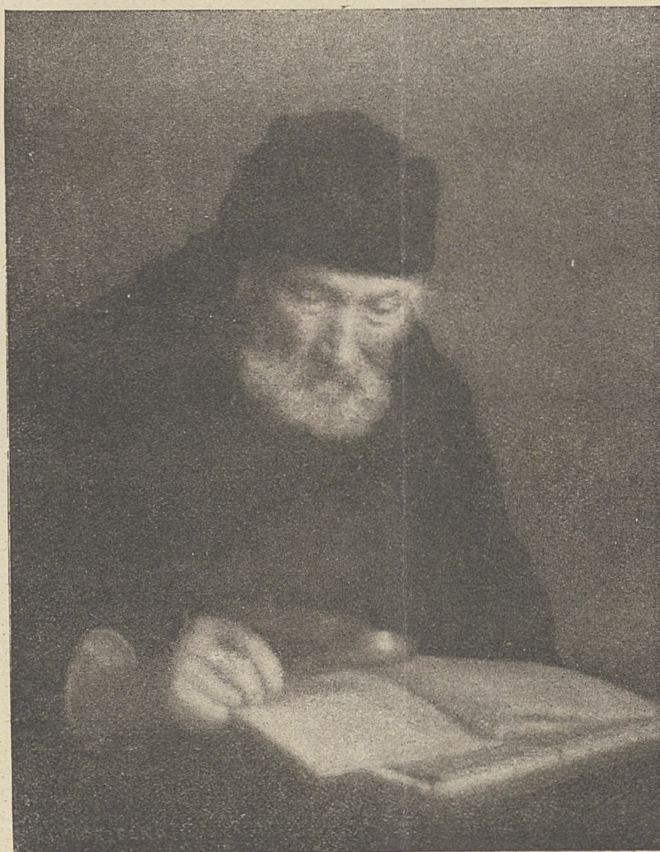
WITOŁD ZIEMBICKI

Ś. p. Benedykt Dybowski

W 100-letnią rocznicę urodzin

Urodzony w Adamczynie, pod Mińskiem, dnia 30 kwietnia 1833, ś. p. Benedykt Dybowski, lekarz i przyrodnik, uczony o sławie wszechświatowej, zmarł we Lwowie przed trzema laty, dnia 31-go stycznia 1930.

Trzech kwietni brakło mu jeszcze do stu lat życia. A było ono bujne i znojne, — w cierpienia i radości, w zawody i powodzenia bogate. Na wieść żałobną, cała ludzkość złożyła wtedy hołd jego pamięci. Dziś przypomina nam się znowu żywiej postać nestora współczesnych przyrodników i lekarzy, z dwóch powodów: ze względu na setną rocznicę urodzin i ze względu na siedmdziesiątą rocznicę powstania styczniowego. Wszakże to za udział w organizacjach powstańczych zesłany na Sybir, rozpoczyna tam bezprzykładną i pod względem wytrwałości i pod względem wyników działalność naukowo-eksploratywną, a jasny umysł jego rozświetla tajemniczą dotąd i pełną zagadek faunę tego kraju.



Przebiegnijmy w krótkim rzucie oka, ten niepospolity żywot.

Już jako dziecko, zdradza Dybowski zamiłowanie do historji naturalnej. Odznacza się tem w gimnazjum w Mińsku. Na uniwersytecie w Dorpacie studjuje przyrodę i medycynę. W 23 roku życia otrzymuje złoty medal za pierwszą pracę naukową. Dalsze studja odbywa w Wrocławiu, a w roku 1860, otrzymuje w Berlinie stopień doktora medycyny. Jest to epoka Darwina. Młody nasz uczony zapala się nowemi teorjami i zostaje odtąd pod ich wpływem. Następują, jedna po drugiej, dalsze prace naukowe, przedewszystkiem przyrodnicze, zwracając uwagę powszechną na autora, tak, że Kraków powołuje go na katedrę zoologji. Ale losy potoczyły się inną drogą. W atmosferze politycznej czuć

już było burzę. Ruch powstańczy zatacza coraz szersze kręgi i pociąga Dybowskiego za sobą. Aresztowany najpierw w Dorpacie, zostaje wypuszczony na wolność, wkrótce jednak aresztowany ponownie, zesłany zostaje w lutym 1864 na lat 15 do kolonij nerczyńskich.

I oto dzieje się rzecz znamienna! Na wygnaniu rozpoczyna z niezmordowaną wytrwałością badania naukowe, przetrząsa lasy, stepy, wody, zaciekawia się szczególniej jeziorem bajkalskiem. Organizuje wycieczki przyrodnicze, dociera aż do wschodnich wybrzeży Azji. Jednem słowem cały czas, spędzony na wygnaniu, poświęca zbadaniu kraju, z którym go związało przeznaczenie. Pochłonięty czarem nauki, nie zapomina przytem o swem powołaniu lekarskiem i równocześnie, gdzie może, rozwija działalność samarytańską i humanitarną, tem więcej godną podziwu, że pozbawioną jakichkolwiek środków materjalnych.

Wyniki badań Dybowskiego na Syberji miały znaczenie podstawowe, a to dzięki założeniu, z którego wyszedł, że fauna każdego kraju zależna jest od warunków, temu krajowi właściwych. Ustala więc cały szereg odmian gatunkowych, odkrywając zarazem nowe gatunki. Zbiory jego przeznaczone do dalszego badania i porównania z europejskiemi, wzbogacają później zoologiczny gabinet warszawski, którego kustoszem jest wówczas przyjaciel Dybowskiego, słynny ornitolog Władysław Taczanowski. Wyniki te były zdumiewające. Z różnych dziedzin nauk przyrodniczych ogłoszonych było przeszło 20 rozpraw. Z większych zwierząt, — co nas tu, na łamach „Łowca", może bardziej interesuje, — odkryty został w kraju Ussuri jeleń w nieznanej odmianie, nazwanej odtąd imieniem odkrywcy: Cervus Dybowskii[1]). Okazało się, że tamtejszy tygrys, opisany przez Dybowskiego jako Megalotigris Gleni, różni się od tygrysa południowo-azjatyckiego, a więc indyjskiego i przewyższa go znacznie wielkością[2]). Pies morski bajkalski został opisany jako nowa postać: Phoca sibirica[3]). Z ptaków łownych m. in. opisany został nowy gatunek dropia, Otis Dybowskii. W roku 1865, nadeszły do Warszawy pierwsze transporty ptaków, a to 434 gatunków, w tej liczbie 80 gatunków nieznanych już to na Syberji, jużto wogóle. To był materjał, który posłużył Taczanowskiemu do napisania znakomitego dzieła o Awifaunie syberyjskiej. W pewnej okolicy opisał Dybowski 35 gatunków ryb, z których połowa była nieznana. Do najdonioślejszych należały niewątpliwie badania nad fauną jeziora bajkalskiego, obejmujące wszelkie gatunki, od najniższych do najwyższych.

Nie dość na tem. Wyniki poszukiwań Dybowskiego stały się bodźcem dla całego szeregu późniejszych badaczy. Pod wpływem nieoczekiwanych relacyj, rząd rosyjski wysłał nad jezioro jezioro bajkalskie w latach 1900 — 1901 całą wielką ekspedycję. Wskutek starań podjętych przez instytucje naukowe, pozwolono wreszcie Dybowskiemu powrócić do kraju w roku 1876. Wtedy to ofiarowywano mu katedrę uniwersytecką w Tomsku. Oto moment, nie mający sobie równego! Poprzez zesłanie, poprzez katorgę, poprzez osiedlenie, niespożyty duch Dybowskiego wzbija się na najwspanialsze wyżyny odkryć naukowych i jakby w odpowiedzi za klęskę 1863 roku, gdzie siła fizyczna nie mogła sprostać dzikiej przemocy, ten duch kultury polskiej, na ziemi rosyjskiej, we wschodniej Syberji, dokonywa dzieł nieśmiertelnych. I ta sama Rosja, która jako powstańca, pędziła go na zatracenie, aż hen, w okolice Bajkału, ta sama Rosja, pobita przez niego na polu naukowem i to na terenie, który już poprzednio komisje uczonych rosyjskich bezowocnie badały, — ofiarowuje Dybowskiemu nagrodę w postaci rządowego stanowiska naukowego!

Posady w Tomsku nie przyjął. Popęd do badań, raz rozpoczętych, przemożną siłą skierował go gdzieindziej. Oto przyjął stanowisko lekarza powiatowego na Kamczatce. Pobyt 6-letni w tym odległym kraju zaznacza się nowemi badaniami i nowemi publikacjami. Z tego okresu datują się także rozprawy lekarskie. Zgodnie ze swem nowem stanowiskiem, poświęcił się bowiem Dybowski z całem zaparciem się miejscowej ludności. Tę ludność, wymierającą z głodu i pogrążoną w zupełnej bezwoli, ratuje on jak może. Przewozi własnemi środkami na odpowiedniejsze miejsca, wskazuje jej źródła dochodów, uczy chowu królików i kóz, stwarza rezerwaty dla sobola, walcząc z zawiścią handlarzy, tępiących tę zwierzynę dla kosztownych futer. Tu zetknął się Dybowski z trądem. Nieustraszony, wdaje się w walkę z tą chorobą. Niesie pomoc, przeprowadza odosobnienie dotkniętych zarazą, sam jeden, opuszczony przez wszystkich, nawet powołanych do tej pracy z urzędu lekarzy rosyjskich.

Na Kamczatce dochodzi go powołanie na Uniwersytet do Lwowa. Powołaniu temu oprzeć się nie mógł. Powraca do ojczyzny, obejmuje to stanowisko i pozostaje na niem od roku 1884 do 1906. We Lwowie, po wysłużeniu lat, zamyka się w zaciszu domowem, ale pracować nie przestaje. Robi jakby rachunek z przeszłości. Pojawiają się jego pamiętniki.

Do ostatnich chwil życia zachowuje pogodę umysłu i niezwykłą słodycz usposobienia. W rozmowie o czemkolwiek zapala się, jak młodzieniec. W przeszłości czyta z fenomenalną pamięcią, jak w otwartej księdze; nie zna goryczy w ocenianiu teraźniejszości; budzi wiarę w przyszłość. Każde zetknięcie z tym, prawie stuletnim starcem, przejmowało jakimś dziwnym optymizmem, pod-

[1]) O jeleniu Dybowskiego niżej, osobny artykuł.

[2]) Tygrys usuryjski, nazwany od rzeki Ussuri, będącej dopływem Amuru, na samym krańcu Azji wsch., czyli Megalo-tigris Gleni (na pamiątkę pułkownika rosyjskiego tego nazwiska, który wyprawom i łowom towarzyszył). Poniżej podajemy wyjątek z pamiętników Dybowskiego (Lwów, Nakładem Zakładu Nar. im. Ossolińskich, 1930), w których znajdują się ciekawe szczegóły polowania na tego zwierza. Skóra największego okazu, przeznaczonego dla gabinetu zoologicznego w Warszawie, uległa niestety zniszczeniu wskutek zaniedbania ze strony Taczanowskiego. Był to okaz starego samca, ważącego po odrzuceniu wnętrzności 8 pudów i 30 funtów. Długość jego wynosiła 2,79 m., w tem ciało 1,83 m, a ogon 96 cm. Objętość za przedniemi nogami wynosiła 1,13 m. Wysokość w łopatkach: 1,05 m, wysokość tylna 95 cm.

[3]) Foka, czyli Pies morski z jeziora bajkalskiego (Phoca baicalensis), jest zjawiskiem charakterystycznem dla tego jeziora, jako słodkowodnego, o faunie — rzec można — morskiej. Sierści srebrzysto-błękitnawej, jest gatunkiem co do wymiarów mniejszym od morskiego.

nosiło ducha. Czy wpływ ten był wynikiem wrodzonego usposobienia, czy nabytej w długiej wędrówce filozofji życia? Zapewne jednego i drugiego. W jednym z nekrologów słusznie przypomniano wiarę Dybowskiego w zbawienny wpływ nauk na rozwój ludzkości. — Wiarę tę wyraził w dewizie, umieszczonej na jednej z swych prac propagandowych, mającej na celu walkę z alkoholem. Brzmi ona: „O m n i a m a l a s c i e n t i a v i n c e t"... Wszystko zło wiedza zwycięży!

WITOŁD ZIEMBICKI

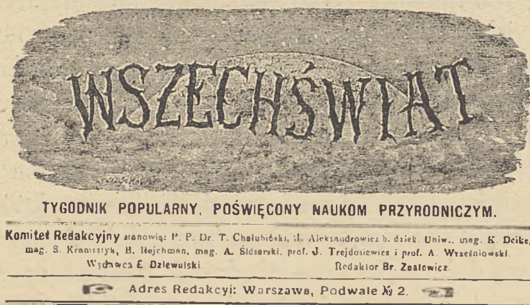
Jeleń Dybowskiego

Z pośród ogromnej ilości wschodnio-azjatyckich zwierząt, opisanych przez Dybowskiego, najpopularniejszym jest niewątpliwie jeleń, oznaczony jego nazwiskiem. O ile bowiem inne interesują, z małemi wyjątkami, przedewszystkiem tylko uczonych specjalistów, znajomość J e l e n i a D y b o w s k i e g o przedostała się, z natury rzeczy, poza ramy świata uczonego. Wiadomość o tym jeleniu, na podstawie opisu, dostarczonego przez odkrywcę, opublikował po raz pierwszy T a c z a n o w s k i w roku 1876 (w „*Proceedings of the Zoological Society of London*"). Taczanowskiemu uszedł jednak uwagi ten szczegół, że już w roku 1864, w temże wydawnictwie, opisał był zupełnie podobnego jelenia S w i n h o e. Stanęły więc obok siebie dwie nazwy: C e r v u s D y b o w s k i i i C e r v u s m a n t c h u r i c u s S w i n h o e, będące, jak się zdawało, synonimami tego samego jelenia. Zaliczony on został, ściśle biorąc, nie do rodzaju C e r v u s, ale do rodzaju, zwanego P s e u d a x i s, a zarazem do gatunku S i k a. Ogólną charakterystyką tych jeleni jest to, że posiadają one wieniec stosunkowo wydoskonalony, zbliżony więc do wieńca najszlachetniejszych jeleni, gdy tymczasem skóra, czyli „suknia", pozostaje na niższym stopniu rozwoju, czego objawem są plamy jasne, widoczne conajmniej w odzieży letniej. Gatunek S i k a (P s e u d a x i s s i k a T e m n, S c h l.), posiada w Chinach północnych, Mandżurji i Japonji liczne podgatunki. Otóż okazało się, że jeleń, opisany pier-

Pseudaxis Dybowskii. Taczanowski (Cervus Dybowskii)
Jeleń plamisty daurski najbliższy do Pseudaxis Mandschuricus Swinhoe. — Opisałem go szczegółowo fotografowano we Władywostoku ale bez rogów, przetworzono fotografji na rogatego — tę fotografji załączam tu.

Podobizna autografu Dybowskiego

Rok IV. PROSPEKT. Tom IV.


WSZECHŚWIAT

TYGODNIK POPULARNY, POŚWIĘCONY NAUKOM PRZYRODNICZYM.

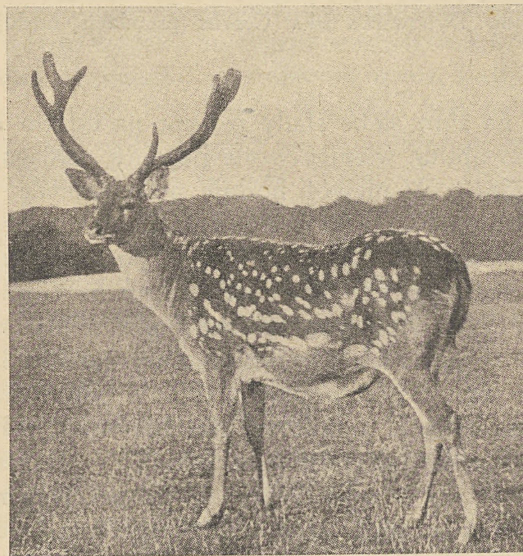
Komitet Redakcyjny stanowią: P. P. Dr. T. Chałubiński, J. Aleksandrowicz b. dziek. Uniw., mag. K. Deike, mag. S. Kramsztyk, B. Rejchman, mag. A. Ślósarski, prof. J. Trejdosiewicz i prof. A. Wrześniowski.
Wydawca E. Dziewulski. Redaktor Br. Znatowicz.

Adres Redakcyi: Warszawa, Podwale № 2.



Jeleń Dybowskiego (Cervus Dybowskii).

Reprodukcja karty prospektowej „Wszechświatu" z podobizną Jelenia Dybowskiego, wykonaną przez Jana Sztolcmana, prawdopodobnie na podstawie fotografji, o której wspomina Dybowski w powyższej notatce.



Jeleń Dybowskiego w sukni letniej z dzieła: Rowland Wards records of big game, ed. VII, London, 1914, p. 53. Podpisano: Dybowski's stag.

wotnie przez Swinhoe'go jest takim podgatunkiem, właściwym Mandżurji południowej, jeleń zaś Dybowskiego jest przedstawicielem Mandżurji północnej. Nazwy ich naukowe dzisiejsze brzmią: Pseudaxis sika mantchuricus Swinh. i Pseudaxis hortulorum Swinh., czyli Cervus Dybowskii. Nazwa Cervus Dybowskii utarła się i przyjęła powszechnie, nietylko u nas ale i u cudzoziemców i używana jest do dziś, jako popularny skrót nazwy naukowej jelenia północno-mandżurskiego.

Wśród jeleni Sika odróżnia się jeleń Dybowskiego wielkością. Latem posiada wielkie, białe plamy, pozostawiające na zimę słabe ślady jedynie na udach. Zimową sierść ma obfitą, wieniec wcale potężny, osiągający do 10-ciu odnóg. W niewoli hoduje się doskonale, a byki krzyżują się łatwo z łaniami jelenia europejskiego. Zimę znosi wytrwale, jak tego dowiodły spostrzeżenia, dokonane w zwierzyńcu księcia na Pszczynie na Górnym Śląsku (Brehm, Tierleben, ssaków tom IV, 1916, str. 130).



Głowa Jelenia Dybowskiego z tegoż dzieła, str. 52.
Podpisano: Dybowski's Sika (Cervus [pseudaxis] hortulorum).

Będąc w posiadaniu własnoręcznej notatki Dybowskiego o jego jeleniu, podaję ją tutaj w podobiźnie, jako cenną pamiątkę. Z notatki tej, przeznaczonej, jak widać, do objaśnienia fotografji tego jelenia, wynika zarazem powinowactwo Jelenia Dybowskiego z Jeleniem Swinhoe, ale, temsamem i odrębność podgatunku, względnie odmiany.

Zainteresuje też czytelników „Łowca" podobizna tego jelenia, wykonana przez Jana Sztolcmana. Podaję prócz tego dwie reprodukcje, zaczerpnięte ze znanego wydawnictwa Warda: »*Records of big game*«.



Urywek z pamiętnika

Dra Benedykta Dybowskiego 1862 — 1878

(Lwów, Wydawnictwo Zakładu Narod. im. Ossolińskich, 1930).

Już bawiąc nad rzeką Ussuri, obmyśliliśmy tak zw. kulę zatrutą. Do formy na kulę wkładaliśmy słupek sporządzony bądź z korka, bądź też z rdzenia bzu koralowego, poczem nalewaliśmy do formy roztopiony ołów, w ten sposób powstawała kula, mająca wewnątrz słupek, ten słupek usuwaliśmy, krając go w kawałki, otwór dolny zaklejaliśmy na głucho plasterkiem płóciennym, zaś przez otwór górny sypaliśmy proszek bardzo miałki z cukru i strychniny, poczem zaklejaliśmy górny otwór plasterkiem jak dolny, spuszczając kulę do lufy fuzji, obwijaliśmy ją lekko w starzyznę. Powoli przygotowaliśmy pewną ilość takich kul większych i nieco grankulek. Gdy wybrzeża naszej zatoki zamarzły szeroko w morze, przekonaliśmy się, że ślady tygrysie biegły zawsze brzegiem morza, — spostrzeżenia nasze wykazały, że prawie co nocy mimo nas wędrował tygrys, a nawet niekiedy widzieliśmy parę śladów różnych. Postanowiliśmy stawić na wybrzeżu samopały, używane przez nas w Kułtuku; stawiając je przy tak zw. „sałańcach", czyli sztucznych, solą posypanych przestrzeniach leśnych. W Kułtuku nie używaliśmy zatrutych kul, tu zaś na tygrysa polując, wypadało zabić go na miejscu, ażeby daleko nie odszedł w stronę. Nic nie mówiąc nikomu, zaciągnęliśmy z obu stron fermy na wybrzeże po sporym kawale drzewa, przywiązaliśmy mocno do jednej fuzji, wycelowanej na wysokość tygrysa. Do cyngla fuzji był przymocowany cienki, lecz mocny sznureczek, nawoskowany, szarego koloru, biegł on naciągnięty do słupka, wbitego naprzeciw fuzji w lód u zmarzłego wybrzeża. Zwykle nabijaliśmy tylko jedną lufę jedną zatrutą kulą. Tygrys idąc brzegiem morza, musi z konieczności potrącić piersią naciągnięty sznurek, w tej chwili spada kurek i następuje wystrzał. Urządziwszy samopały, prosiliśmy Höcka, ażeby zabronił swoim robotnikom wychodzić z domu po zachodzie słońca, a zarazem objawił w fanzach sąsiednich i na fermach Finlandczyków, ażeby nikt stamtąd nie przybywał po zachodzie słońca do niego, wprawdzie takie rozporządzenie może było zbyteczne, bo nikt z mieszkańców nie ośmielił się wychodzić z domu, nawet w nagłej potrzebie, gdyż wszędzie widziano ślady tygrysów. Dzień przed ustawieniem samopału, zakomunikował nam Höck, że w nocy bawiły około naszych mieszkań dwa tygrysy, że podchodziły tuż do drzwi stajenki i że słyszał, jak mimo okien domu „galopowały" dwie duże sztuki.

Otóż wieczorem tego dnia, po odebraniu wiadomości poszliśmy ja i p. Wiktor z latarką, ustawiliśmy samopały i z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pierwszy rezultat naszego polowania. Zgasiliśmy światło w pokoju wcześnie, w ubraniu położyliśmy się na narach, drzemiąc raczej niż śpiąc, przeleżeliśmy dobrze do północy. Raptem w ciszy nocnej słyszymy wystrzał z prawej strony fermy i tuż po nim „galop" ciężkiej sztuki mimo naszych okien, a w kilka może minut potem pada strzał drugi z lewej strony fermy. Co to być może? zapytujemy siebie, czy kule chybiły i jeden i ten sam tygrys spo-

wodował oba wystrzały, albo też może oba tygrysy zostały zabite. Komentujemy sam fakt wystrzałów, objaśniając go w sposób rozmaity. Ja bawię się, ćmiąc fajkę, p. Wiktor nie palący, więc i tej rozrywki niema, niecierpliwimy się oczekiwaniem świtu. Nagle puka do nas Höck, powiadając, że słyszał wystrzały, więc proponuje ażeby iść obejrzeć trupy, gdyż na pewno oba tygrysy, które były tu wczoraj, zostały zabite. Bierzemy broń do rąk i wychodzimy. Zrazu idziemy na prawo, do miejsca ustawienia samopału bliskiego naszej fanzy. Nad rankiem upadł śnieg i białym puchem przykrył wybrzeże, śladów tygrysich nie widać. Zbliżając się do miejsca, spostrzegamy białą kupę pokrytą śniegiem, domyślamy się, że leży tygrys, padł nie więcej jak na dziesięć kroków od sznurka, więc biegł od strony prawej odnośnie do fermy, sznureczek został wyrwany u cyngla. Opatrzyliśmy tygrysa, piękny okaz, lecz niewielki. Odwiązaliśmy samopał, zdjęliśmy sznurek, po tygrysa zaś przyjdziemy z saneczkami, ażeby go przewieźć. Wracamy do mieszkania, składamy tam oręż i idziemy do lewego samopału. Tu znajdujemy drugiego tygrysa leżącego za sznurkiem, o kilkanaście kroków, więc biegł w kierunku z prawa na lewo, tak jak pierwszy tygrys. Wyjaśnia się nam, dlaczego tygrys po wystrzale nie cofnął się wstecz, lecz biegł przed siebie dalej tem, że oba okazy szły obok siebie, po wystrzale kula zabiła jednego bliższego, drugi zaś pomknął naprzód. Odwiązaliśmy samopał i tu sznureczek był zerwany u cyngla. Radość ze zwycięstwa nad tygrysami była wielka. Höck cieszył się, że wywiadowcy onegdajsi, którzy szli zapewne po konia, zostali ukarani. Para tygrysów składała się z młodego samca i starej samicy, przypuszczaliśmy, że była to matka z synem.

Tegoż wieczora i kilka następnych, stawiliśmy samopały, lecz tygrysów nie było. Pewnej nocy słyszymy wystrzał z lewej strony fermy. Rano z latarką i bronią poszliśmy obejrzeć, nie znaleźliśmy oczekiwanego trupa, rozglądając się starannie po śladach, spostrzegamy ślady psie. Ponieważ Chińczycy nie trzymają psów, więc może być ślad psa Finladczyków i prawdopodobnie tak było, pies ich jest na niskich nogach, biegnąc potrącił sznurek, fuzja wypaliła, kula przeleciała ponad nim. Zawiadomiliśmy Finlandczyków, żeby psa zamykali na noc.

Jeszcze dwa większe tygrysy zdobyliśmy kulami zatrutemi z samopałów, bez wszelkich szczególniejszych pobocznych okoliczności. Jeden z nich był tak zuchwałym, że przeszedłszy po lodzie na wyspę Putiatina, tam napadł na fanzę Chińczyków, ci przestraszeni nocnemi odwiedzinami, za dnia uciekli na ląd. Tygrys jednak gościł na wyspie niedługo, wrócił po lodzie na wybrzeże i tu krocząc ku fermie Höcka, został zabity kulą z samopału. Właśnie preparując ten wielki okaz, po zdjęciu skóry z niego, powiesiliśmy oczyszczony szkielet z gruba na skale stromej u wybrzeża, nie dotykał on ściany skalnej, lecz bujał w powietrzu. Na ten szkielet spuścił się wielki orzeł, Haliaetus pelagicus, którego zabił Godlewski, następnie spostrzegliśmy na ścianie skalnej ślady głębokie od potężnych pazurów; widocznie tygrys próbował podnieść się do góry w tem miejscu, ażeby dobrać się do zawieszonego szkieletu. Postanowiliśmy zatem w tem miejscu ustawić samopał, ponieważ na razie nie było gotowej zatrutej kuli, Godlewski nabił obie rury dubeltówki, a każdą z nich dwoma pełnemi kulami ołowianemi.

W nocy usłyszeliśmy silną detonację. Jaki to będzie rezultat, myślimy? Już dobrze za dnia wychodzimy obejrzeć i zdjąć samopał. Przyszedłszy na miejsce, nie znajdujemy ani trupa, ani rannego. Rozpatrując otoczenie, widzimy na lodzie przybrzeżnym ślady czterech potężnych pazurów, kilkakrotnie znaczonych. Lód przybrzeżny, co do swej szerokości mierzył w tem miejscu około sążnia, poza tym pasem lodu była woda z kawałami rozbitego lodu, widocznie potężne uderzenie czterech kul na raz, wpędziło tygrysa do wody; ażeby wydostać się na lód brzeżny, musiał całą siłą swych pazurów zahaczać je o powierzchnię lodu, z pierwszego razu to mu się nie udało, próbować musiał kilkakrotnie, stąd kilka śladów, ale to były ślady tylko jednej nogi, stąd prosty wniosek, że druga została skaleczona wystrzałem i jest bezwładną. Po wydostaniu się z wody na brzeg, nie szedł tygrys po wybrzeżu, lecz podjął się po stromej pochyłości w górę, by dostać się na wzniesienie terenu przybrzeżnego. Rozpatrzywszy te wszystkie szczegóły, odwiązaliśmy samopał i wróciliśmy do domu, ażeby naradzić się z Höckiem co dalej poczynać. Stanęło na tem, że uzbrojeni, będziemy szli śladami tygrysa aż go dogonimy. Po herbacie rannej, mając każdy z nas ze sobą sztucer z bagnetem, pistolety i t. d. ruszyliśmy we trzech, mając nadzieję, że odszukamy rannego. Pnąc się pod górę śladami tygrysa, podziwiamy jego siłę i wytrzymałość, a stąd wniosek, że będziemy w nim mieli niebezpiecznego wroga. Dosięgnąwszy szczytu wzniesienia, widzimy tuż u brzegu miejsce, gdzie odpoczywał leżąco, były tu wyciśnięte zagłębienia, a na jego dnie krew. Zrazu łatwo było śledzić, bo tygrys szedł wśród krzakowatych roślin i zaznaczał ocierając się o nie, ślady pochodu swoją krwią. Psy nasze, Waltuś i pies świeżo nabyty kapitana, cofały się za nas, nie dając się zniewolić do wietrzenia śladów tygrysa. Traciliśmy ślad każdym razem, jak tylko krzaków nie było po drodze. Dużo traciliśmy też czasu na odszukanie śladów po krzakach na nowej przestrzeni krzaczastej, tak doszliśmy do pobliża ferm Finlandczyków, gdzie zastaliśmy ich zajętych w polu. Spostrzegli nas i wołają „czego szukacie?“ Odpowiadamy, że podstrzelonego tygrysa, nie łatwo go dognać, mówią, niedawno widzieliśmy jak lekko galopem przebiegał tu mimo nas. To nie był galop, powiadam, lecz skakanie na jednej nodze, jest silnie raniony, krew mu cieknie z rany. Finlandczycy podchodzą do nas bliżej, rozpytują się o szczegóły, a następnie projektują, ażebyśmy zaszli do nich na kawę, przy niej, powiadają, omówimy projekt wspólnego polowania dalszego. Przystajemy na propozycję, zaznaczając dokładnie miejsce, kędy tygrys wszedł do krzaków.

Po spożyciu kawy, Finlandczycy wziąwszy broń ze sobą oświadczają, że pójdą górą, my zaś mamy iść śladami. Jeżeli tygrys spuścił się na dolinę i poszedł nią a nie wzniósł się na przeciwległą pochyłość górską, to mamy wołać na nich. Wracamy do miejsca z ostatnio odszukanym śladem, rozpoczynamy ciężką pracę, po-

stępujemy powoli, tropiąc po śladach, dochodzimy do końca zagajenia i tu rozpoczyna się dość szeroka przestrzeń łąkowa, tu też leży nieco śniegu wśród trawy, w pewnem miejscu nam się zdaje, że rozpoznajemy ślad tygrysi, skierowany tak, jak gdyby przekroczył strumień dotąd nie zamarzły, przekraczamy go i my także, stajemy u podnóża pochyłości górskiej. Naraz spostrzegamy stojącego w połowie wysokości górskiej tygrysa potężnego, nam on wydawał się zupełnie zdrów, tak, że Höck zawołał „to nie raniony, — to inny". Pomimo to poszliśmy ku miejscu, gdzie się nam pokazał. — Zarośla były gęste, przeważnie krzakowate, pomiędzy niemi rzadkie drzewa, ostrożnie powoli kroczyliśmy przed siebie, przeszliśmy spory kawał góry prawie do połowy jej wysokości. Höck proponuje przysiąść pod drzewem i zapalić fajki. Zgadzamy się, również i p. Wiktor, chociaż nie pali, siadamy, rozmawiamy, Höck wytrząsa ze swej fajki popiół i powiada, że wlezie na pobliskie drzewo i rzuci okiem z góry na okolicę, może dojrzy gdzie tygrysa, odchodzi wspina się na drzewo i naraz woła donośnym głosem, „tygrys tuż przed nami, dajcie mi winczestera", Godlewski niesie mu sztucer i staje pod drzewem, lecz nic nie widzi, tak są gęste zarośla. Höck strzela, słyszę krótki ryk, następnie drugi strzał i wołanie Höcka „miortwyj". Przedzieramy się przez gęstwinę i widzimy na powierzchni niewielkiej przestrzeni wolnej od krzaków, rozciągnięte martwe ciało ogromnego tygrysa, z obwisłą, strzaskaną wystrzałem żuchwą.

Prawdopodobnie tygrys był już słaby, to też strzały Höcka może były zbyteczne, lecz gdyby on nie dostrzegł go zgóry, wlazłszy na drzewo, to również prawdopodobnie moglibyśmy go ominąć przy naszych poszukiwaniach. Kły tego tygrysa w górnej szczęce mierzyły 65 mm wys. 32 mm w szerokości przednio-tylnej u podstawy i 20 mm w grubości boczno-bocznej u podstawy. Kły żuchwy dolnej z odłamanemi końcami mierzyły 40 mm, zważony częściowo, bez wnętrzności, miał ciężaru 11 pudów (176 kg), nie był on chudy, lecz średnio tłusty. Sądząc po zębach, musiał być stary, rozmiarami dorównywał mu okaz ussuryjski, to też postanowiliśmy ofiarować ten okaz pułkownikowi Glenowi, z podzięką za ów, który nam ofiarował dla gabinetu warszawskiego; inne cztery oddaliśmy w podarunku Höckowi, Kisielewskiemu, Wolskiemu i Schulzowi. Zdawało się, że po sprzątnięciu pięciu okazów z jednej okolicy, będziemy wolni od tej plagi tygrysiej, a tymczasem latem, gdy staliśmy w namiocie na dolinie w górze zatoki Razbojnik, doświadczyliśmy, że prawie co nocy włóczyła się dokoła nas tygrysica z dwojgiem potomstwa. Następnie na wybrzeżu zatoki Abrek musiał Manza mieszkanie swoje porzucić, tak mu tygrys dokuczał. Korzystając z tej okoliczności, że tygrys zabity został bez trucizny, postanowiliśmy spróbować smaku jego mięsa. Marfa pod naszem przewodnictwem przygotowała comber, wytłuczony młotkiem drewnianym i szpikowany — na bifsztyk — usmażyła go w maśle z cebulą, według recepty Muklanowicza i stosownie do gustu Höcka, który powiadał, że wszystko dobre nawet i podeszwa, byle na na maśle. Tak sporządzony tygrysi bifsztyk smakował doskonale, zaś mięso tygrysie w zupie, nie podobało się nikomu. Ile tygrysowi przyczyniliśmy boleści zadaną mu raną, to trudno ocenić, cztery ciężkie kule nie miały tyle siły, ażeby przebić ciało, złamały tylko dolną część łopatki i tu przed nią zatrzymały się. Tygrys podskakując na jednej nodze, wprawiał w ruch kule, które utworzyły pomiędzy skórą a mięśniami rodzaj torebki, wszystkie cztery kule znaleźliśmy obok siebie, w tej torebce, otoczone krwią i śluzem.



ALBERT MNISZEK

Lisowice

W szarej miernocie codziennego życia, zajść do starego lamusa swej jaźni — przejrzeć zżółkłe karty pamiętnika własnych przeżyć z przed lat dziesiątek, zaczerpnąć z nich owianych urokiem młodości wspomnień — nakazać myśli wędrówkę po cmentarzach, by śpiących w mogiłach dawnych towarzyszów broni wywołać obrazy! Przerwać Im sen przedługi, by snuć z Nimi choć przez chwilę misterną sieć pajęczą i chwytać w nią starych wspomnień motyle!

To subjektywizm — to samolubstwo pisarza, kręcącego w mózgu film przeszłości i wyświetlającego go na papierze — to dawka narkotyku wyprowadzająca go z szarzyzny życia przez most na łuk tęczy marzeń rzucony w bajeczny, zda się dziś, świat, w którym, wierzyć trudno, że się niegdyś obracał!

Pisać dzieje Lisowic!...

Z wielkiem wzruszeniem zabieram się do tego aktu, gdyż wiem, że wywołam z serca, drzemiące w jego głębi, świetlane wspomnienia, wywołam je może i u czytelników...

Wszak tylu z nas serdeczne łączą węzły z tą wspaniałą lisowicką knieją — wszak polowali tam nasi dziadowie, ojcowie i przyjaciele! Trzy pokolenia!

Lecz poza powodem osobistym, jest inny o wiele ważniejszy, który skłania me pióro do kilkudniowej pracy poświęconej Lisowicom:

Najstarszemu towarzystwu myśliwskiemu w Polsce, może nawet i w Europie, bo 62 lat istniejącemu i polującemu w jednej i tej samej kniei, należy się już od dawna kilka kart jego dziejów w „Łowcu"; zaszczyt ten należy się i naszemu czasopismu, a obowiązkiem jego jest przekazać świetne tradycje tego zespołu myśliwskiego przyszłym pokoleniom, przekazać je historji łowiectwa polskiego.

Czy miałbym tu pisać szczegółową historję Lisowic? Nie. Zabrałoby to w „Łowcu" za wiele czasu i miejsca, zresztą byłoby to zbytecznem. Najlepszą historją Lisowic są protokoły polowań, prowadzone od pierwszego

dnia łowów po dobę dzisiejszą, a wydane w trzech tomach p. t. „Kroniki myśliwskie“ w latach 1895, 1907 i 1921, obejmujących więc na razie czasokres lat 50-ciu (1871 — 1921).

Praca niniejsza uważaną być może tylko za treściwy szkic dziejowy Towarzystwa Lisowickiego, w który wpleść będę się starał charakterystykę jego działalności i niektórych ściśle związanych z niem osób.

Przechodzimy do tematu:

Zanim przejdziemy do daty założenia Towarzystwa Lisowieckiego w r. 1871, musimy przedtem dać miejsce epoce, dla tego Towarzystwa, niejako przedhistorycznej. Zajmiemy się nią nawet dłużej, jest ona bowiem bardzo interesującą, gdyż charakteryzuje ówczesne stosunki i pojęcia łowieckie, jest tem samem przyczynkiem do historji łowiectwa polskiego.

Rządowe okręgi gospodarcze, lasowe, Lisowice, Piła, Bolechów, Taniawa i Polanica, o obszarze zwyż 30.000 morgów w powiecie stryjskim i dolińskim, częściowo już w Karpatach, częściowo na podgórzu rozsiadłe, były od r. 1851 do r. 1871, a więc przez lat 20 łowiskami reprezentacyjnemi, oddanemi do dyspozycji ówczesnym komendantom korpusu i komendurującym generałom we Lwowie.

Od pierwszego dnia łowów prowadzono tam szczegółowe protokoły polowań. Mam przed sobą niesłychanie ciekawą tę księgę. Łowcami są po największej części wysocy austrjaccy dygnitarze wojskowi-arystokraci. Spotykamy się tam z nazwiskami: hr. Schlik, ks. Schwarzenberg, ks. Rohan, ks. Lobkowitz, hr. Pappenheim i in. Z naszych myśliwych cytują protokoły br. Józefa Brunickiego, pułk. Kamienieckiego, późniejszego lisowczyka Wacława Hudetza, Ferd. Kratera i in.

Jestto już organizacja towarzyska, posiadająca statut, przestrzegająca etykę łowiecką. Obowiązuje zakaz strzelania siut, choć ustawa łowiecka ówczesna tego nie wymagała. Ustanowiony był order „Kozy“ (Gaisenorden) o trzech klasach, w kształcie krzyża z rysunkiem siuty w środku i z dewizą „Noli me tangere“. Taksa orderowa wynosiła 10 florenów. Odznaczony krzyżem kawalerskim był obowiązany przypiąć ten krzyż do piersi i nosić raz jeden podczas obiadu po polowaniu. Ubijający kozę po raz drugi, otrzymywał krzyż komandorski (na szyi) i musiał go nosić podczas jednego polowania i obiadu, recydywista zaś dwukrotny, ozdobiony był wielką wstęgą orderową, którą przewdziewał i nosił przez cały jeden sezon polowań.

Podajemy kilka dat interesujących z księgi protokołów:

Data 30 października r. 1852, to wielki dzień dla Lisowic. Poluje tam młodziutki wtedy, bo 21-letni cesarz Franciszek Józef. Rewir „Jedlina“ otoczono trzema tysiącami sążni sieci. Na rozkładzie znalazło się po kilku pędzeniach 8 dzików, 4 lisy, 18 sarn, 2 zające i słonka. Z ręki cesarskiej padły 2 dziki i 3 sarny.

15 października 1852, polowanie na „Czerteżu“ (Jedlina). Niedźwiedź przedziera się przez obławę w kierunku „Zamczysk“, w następstwie czego goniono ten miot. Zwierz wychodzi na łowczego pułkownika Wussina i otrzymuje od niego obie kule. Zwierz ciężko ranny, obficie farbując, przechodzi do „Budy“. Łowczy zarządza pędzenie tego miotu. Donnersberg (junior) idzie za farbą. Postrzałka nie znaleziono, znaleziono go dopiero po 4-ch tygodniach w Morszynie już w zupełnym rozkładzie.

W jesieni r. 1859, wspaniały nalot słonek. Ubito ich na polowaniach gremjalnych 99, a łowczy sam pozostawszy w Lisowicach, ubił ich jeszcze w dniach od 11 do 14 października — 81 sztuk.

25 października 1855, polowanie w okręgu Polanica. W pierwszym miocie wychodzi na rotm. bar. Enisa gruby niedźwiedź i otrzymuje od niego kulę, równocześnie ładunek lotek od Zerbony'ego. Niedźwiedź zwraca się ku stanowisku Gen. hr. Schlika i gen. Limbschena, który go swym strzałem dobija. Zaledwie pp. Enis i Zerboni byli gotowi z nabiciem broni, wychodzi między nich niedźwiedzica z piastunem i staje na linji strzelców, więc strzelać nie mogą, aż gdy zoczywszy myśliwych, zwróciła do miotu. Po ich chybionych strzałach niedźwiedzica wychodzi na płk. Wussina, który ją w ogniu ruluje.

20 października 1865, w Taniawie. W pierwszym miocie wychodzi wspaniała o srebrzystym włosie niedźwiedzica na gen. Reichardta, lecz spostrzegłszy jego przedwczesny ruch, zawraca i wypada na jego sąsiada, gen. Schantza, po otrzymaniu kuli, w ogniu ruluje.

7 października 1862 na „Zamczyskach“ wypadają na gen. Schantza w pełnym biegu dwa rysie. Jeden z nich dostaje nieszkodliwą kulą po tylnych łapach, drugi chybiony. Postrzelony ryś przeszedł na drogę Pöckersdorfu, w trzecim dopiero miocie goniowym ku Zamczyskom wychodzi na stanowisko radcy Grohmana i przez niego śrutem zostaje ubity. — Jest to stara piękna rysica.

9. października tegoż roku w Taniawie ubija wspaniałego rysia samca p. Larchowski, nazajutrz padają znów na linji Zamczysk 2 młode rysie. (Widocznie wybitą została cała ich rodzina).

Polowania odbywają się często i w każdej porze roku. W protokole z 10 marca 1894, czytamy o rezultacie: 3 rogacze, lis, jarząbek, 2 sowy. — Protokół 6 sierpnia tegoż roku świadczy o ubiciu rogacza, 2 lisów i sępa.

Dzików ubijają ci panowie stosunkowo niewiele, 8 do 20 rocznie, rogaczy około 30-stu. — Jeleni w tych latach ani śladu.

Niedźwiedzi ubito w tych 20 latach 7 (i 1 postrzelony), rysi 7 (i 2 postrzelone), wilków 11.

W roku 1871, za staraniem Kazimierza hr. Wodzickiego i Wacława Hudetza, przechodzą rewiry Lisowice, Bolechów, Taniawa i Piła w ręce polskich myśliwych. Powstaje Myśliwskie Towarzystwo Lisowickie.



W. G. S.

Urywek z mego pamiętnika

Przyszedłem na świat — pojęcia nie mam jak — fakt, że byłem strasznie głodny. — Ojca nigdy na oczy nie widziałem. Nie wiem, jak to matka zrobiła, — nie wiem, czy to była noc — czy ciemno w izbie, dość, że nic nie widziałem, byłem głodny.

Nie ma co, trzeba szukać. Zadarłem niuch do góry i pełzam. Naraz trafiłem na jakąś, spiczastą wypukłość, błogi obejmuje mnie zapach, przytknąłem pyszczek i co za rozkosz — życie samo wpływa we mnie; a ja ciągną=łem i ciągnąłem. To było mleko z mojej matki.

Było nas 6=cioro — mówiono później, że 3 siostry i 2 braci miałem. Walczyliśmy po ciemku, jak lwy, o po=karm, aż nareszcie każde z nas zabezpieczyło sobie swoją własną studnię i mama nie broniła.

Pewnego dnia zrobiło się przestronnie w naszym dom=ku. Zostało się nas 4=ro. Potem mówiono, że jacyć ludzie zabrali i potopili — czy coś — — resztę mego rodzeń=stwa — tak, jak ludzie. Wtedy zacząłem się objadać i by=ło czasem źle, ale mama, jakoś i z tem dawała sobie ra=dę — bardzo była dobrą mama.

Pewnego dnia — dzwony gdzieś ślicznie dzwoniły, ujrzałem świat. Co za dziwo! Matka, 2=ch braci, siostra i ja w ciasnej paczce na sianie. Ciepło było, ale za mało przestronnie i jakieś czarne okropnie skaczące zwierzęta bardzo dokuczały, gryzły, łaziły, aż rozpacz brała. Wprawdzie mama niszczyła je, jak mogła, ale to wszyst=ko było na nic.

Wreszcie przyszedł taki wysoki człowiek w szerokim granatowym płaszczu, coś z dozorcą gadał, coś mu dał, co się świeciło i jakieś japońskie pudełko, z którego się kurzył jakiś proszek. Tym mamę i nas obsypano. Bar=dzo nas to dusiło, trzeba było kichać, lecz czegóż ludzie nie żądają od biednego psa? ha trudno, ludzie. Niektó=ry, rzadko, ale czasem są mądrzy. Lepiej było — pchły — tak się to nazywało — uciekły hen, było nam dobrze. Tylko tak mały był dom — 4 ściany — siano, no, i mama.

Jakoś się złożyło, że zebrało mnię na ochotę zobaczyć, co jest poza naszym domem. Ani rusz, wysokie deski nie chcą pokazać świata. 3 dni męczyłem się; aż nareszcie stało się nieszczęście! Ściana naszego mieszkania skoń=czyła się raptem i ja bieduś straciłem dom — byłem po drugiej stronie, na szerokim świecie. — Cudy widzia=łem — zielona trawa, kwiatki, ogromniaste drzewa — ścieżki i jakiś budynek — prawie jak w Ameryce — pię=tra, okna, schody, jakieś słupy z kulami, które w nocy świeciły. Zacząłem badać i stwierdziłem, że i ludzie ma=ją swój dom, że i im nie wolno, gdzie chcą. Zastałem że=lazne kraty i koniec panowania ludzi.

Teraz dopiero stało się nieszczęście. Chciałem się uczyć, a tu przeszkoda. Ledwo zdążyłem się opamiętać, coś strasznego działo się ze mną. Coś uniosło mnie w powie=trze i niosło w dal. Po chwili jednak uspokoił mnie węch. To matka wzięła mię łagodnie w swój pyszczek i niosła do domu — droga, kochana, dobra matka! Za karę wleciałem na pysk, do naszej paki, a śpiące rodzeń=stwo pastwiło się na demną za przerwany sen.

Ale ja nie dałem za wygraną — musiałem zobaczyć świat i poznać ludzi — źle o nich mówią — no ale trzeba. Czasem ludzie są dobrzy! — Mama coraz mniej nas pieściła, rzadziej lizała, a mleka tylko byle co. I tu ludzie przyszli nam z pomocą. Duża misa mleka z bułką, po=tem surowe mięso, czasem kosteczki, potem rosół i ka=sza, kukurudzianka. Delicje — jedno lepsze od dru=giego.

Rosłem jak smok. Żadne z rodzeństwa nie miało do mnie prawa, a mama nawet miała przedemną respekt. Ze mną to nie tak! ho! ho! O nie!

Byłem z siebie dumny, no i zarozumiały. Aż się naraz wszystko skończyło. Przyszedł człowiek, zabrał, wsadził do ogromnego pudła, które bardzo głośno warczało i le=ciało, aż dech zapierało. Raptem gdzieś stanęliśmy — wniesiono mię do góry, gdzieś hen i złożono na cudzej ziemi. Chcieli mię zbałamucić, przekupić, dali jeść, gła=skali, pieścili, wyczyścili, położyli na miękkiem łóżecz=ku, ale ja nie byle pies. Zrobiłem im wstyd, że mnie wy=kradli z własnego domku, że zabrali własnej matce, że ojca nie poznałem, biedna sierota.

Wreszcie zjawił się ten pan z proszkiem japońskim i świecącemi pieniądzmi.

Pogłaskał po głowie, pomacał garbek między uszami — zmierzył uszy aż do nosa, oglądnął nos, zaglądnął w zęby, patrzał, czy mam białe łapy, wziął za ogon. Ach — Boże, ten ogon! Zapomniałem. Przyszedł zbir, akurat po zobaczeniu świata pierwszy raz przezemnie i zabrał mi część ogona. — Może był głodny, chciał zjeść.

Pan wziął mnie za ogon — to jest za resztkę pozosta=łą — podniósł, jak siłacz w powietrze — jak kat — na szubienicę. Ja ani mru = mru. Niech taki nie myśli, że się będę skarżył. I człowiek poraz pierwszy zrobił mi do=brze. Przytulił do piersi, pieścił, całował, drapał za usza=mi. Poznałem, że to mój władca, mój pan. On mnie ro=zumie.

Świetnie, wspaniale działo się mi, przez 2 dni — ja=dałem jak król, robiłem co i gdzie chciałem — ludzie do=brzy byli.

W tem, jak grom z jasnego nieba! Włożono mi na szy=ję krążek ze skóry, przyczepiono rzemień, zajechało pu=dło, które ucieka, wynieśli mnie do licznych większych pudeł, które na żelazach jeżdżą i pojechałem w dalszy świat, mój pan był przy mnie. On dobry — dał mi sma=kołyki. Przytuliłem się do niego, ciepło było, zasnąłem — — — Ludziom wierzyć nie wolno.

Z błogiego snu u stóp nowego pana — wyrwano mnie — nie wiem kto — byłem zaspany. Wysadzono na zimny wiatr. Ktoś mnie unosił, ukradł, zabrał, chce za=mordować, zjeść. Nic nie wiem. — Szkoda, bo pan był dobry.

Gdy przeszedł strach, gdy znikło oszołomienie, jecha=łem na rękach jakiegoś człowieka, który pachniał lasem, czuć było u niego psy i zwierzynę. — A nuż u niego bę=dzie raj. — Pies marzy, chłop strzela, a Pan Bóg kule no=si. Względnie dobrze mi było w lesie, mili towarzysze, czasem dostałem zębami, czasem kijkiem, trudno, psie życie nie na różach uścielone.

Myślałem, jestem nareszcie na swoich śmieciach. Po=znam ścieżki w las i na łąki; złapię w nos zapach pól

i zwierzyny — nareszcie będzie życie. Gdzie tam! Do jedzenia kładź się na ziemię i czekaj aż strawa wystygnie i powiedzą ci „pif", takie dzikie słowo! Chcesz uganiać, to cię człek przywiąże do siebie i ciąga, ani się urwać.

Nareszcie jestem wolny. Uganiam, brykam, swawolę, napadam słabszych — nagle gwizd, aż w uszach świdruje. T. zn. wracać. A spróbuj nie posłuchać(baty, kije i t. d. i t. d.). Więc wracam.

— Fiu fiu — dostałem kawałek kiełbasy. Może i lepiej słuchać. Tak zacząłem chodzić do szkoły między kijem, a kiełbasą, — i musiałem zawsze wychodzić na stronę na dwór, czy zimno, czy gorąco. Takie to dziwaki ci ludzie, ale za to ja coraz lepiej ich znałem i rozumiałem.

Zasiedziałem się na swoich śmieciach na dobre — poczyniłem znajomości z brytanem podwórzowym, z dzikarzami, z moim krewnym legawcem — jakiś taki profesor od łowów z foksami na lisy — miłe psiny — szczególnie suczyna przemiła pieszczoszka, taka biała, drobna, zgrabna — aż psu coś się dzieje.

Znowu człowiek przerwał wszystko. Już nigdy nie widziałem tej bielutkiej foksterjerki. Miała duże czarne łatki na głowie i śliczne bronzowe plamki nad oczami; a nad samym ogonkiem, który nic nie zawadzał, akurat nad tem co i owszem, czarna plamka jak pieprzyk. Nie ma jej, nie ma pieprzyka, nie ma tego, coby się chciało tak.

Dwóch ludzi długo gadało, ze sobą, kazali mi różne głupie robić rzeczy, przynosić jakieś głupstwa. Szkoda szczekać o tem.

I znowu jeden zaczął mnie prowadzić za sobą, ani nosa wytknąć. Myślę, głowę sobie suszę, coś mi się przypomina. Aj, aj! Czy to nie ten dobry pierwszy pan? Trzeba próbować. Liżę go w lewą rękę i patrzę mu w oczy — tak to był mój prawdziwy pan. Przysiadł przy mnie, uściskał, serdecznie pieścił. Nie wytrzymałem, skoczyłem mu na piersi i zacząłem lizać. Był zły, ale nic nie mówił. Pogłaskał. Oczyścił ubranie, pogroził palcem i powiedział, że tego nie wolno — kryzys — ostatnie ubranie. Zrozumiałem.

Pojechałem do miasta. Nudno było i straszny ruch, ani nosa wytknąć na ulicę. Pojazdy — auta — tramwaje — paskudni ludzie — smród, ciasnota, ani pola, ani lasu — pfe.

Ale był mój pan. Bawiliśmy się, uczył mnie różnych rzeczy — służba dobra — wikt przedni, czysty byłem aż się świeciło. — Pani ze mną dokazywała. Różne jej robiłem zbytki. To pantofle zabieram i niosę panu, to chowam rękawiczki, to szalik ciągnę do pokoju — czasem uszło, a czasem nie. Przyszło lato. Znowu z panem kochanym pojechaliśmy koleją tam, gdzie ma być bardzo dużo zwierzyny. Niby w tem gimnazjum, mam się nauczyć wszystkiego — tak aż na samego ministra-psa.

Aż przyszedł wielki dzień. Mój pan podniósł palec do góry, kazał mi usiąść przed sobą, i o ile dobrze zrozumiałem — umiem ludzi rozumieć, a pana mego wcale, wcale, — powiedział mi — Haruniu (nazywałem się „Harro") źle bo gdy dzwonił telefon, ciągle się zrywałem, myśląc, że mnie wołają — Haruńciu — koniec z rozpustą, koniec z dziecięcemi latami, masz 9 miesięcy — to gra w życiu ludzi bardzo ważną rolę, te 9 miesięcy.

Zaczynamy! Myślę, myślę, ani rusz pojąć, o co chodzi.

Mój pan popieścił, wziął długi sznur, ten strasznie przykry twardy korzeń, który boli, natarł mi nos słoniną, którą potem zjadłem, wsadził coś do kieszeni i powiesił strzelbę na ramieniu. Tę znałem. Matula mi o niej mówiła, że to przyjaciółka, że w niej cała moja nadzieja, przyjemność, zasługa i dobrobyt.

Podążyliśmy w pole.

Ścierniska, gdzieniegdzie podkłady, łąki.

Hulaj dusza! Nie kazałem sobie 2 razy mówić i huzia na Soplicę! Raj na ziemi. — Tu stadko kuropatw rozpędziłem, że aż ha — furkot, wrzawa, tu 2 przepiórki gwałtu narobiły, kszyk zerwał, aż nareszcie zając, jak smok, wyrwał mi z pod nóg. Jazda za nim! Bestja umie biegać, nie złapałem, wstyd.

Z ozorem na wierzchu wracam do mego pana — będą kije — a tu nic. Mój pan, ani mnie nie zna, ani nie widzi. Źle!!

Nie wiedząc, jak dostałem się na smycz i przy nodze — wróciłem do domu. Dobre — czyste łoże, pożywienie i sen.

I tak było, codzień. Coś mię jednak w nosie zaczęło kręcić, zacząłem rozróżniać — zajęce — królik — kuropatwy — przepiórki, kszyki, chróściele (nienawidzę), albo taki, chomikowa wiara „Chomik" to ci bestja, jak nie złapiesz odrazu na amen, to gotów takie szlachetne zwierzę, jakiem jestem, pokąsać, ale nie mnie; raz, dwa, pięć — i po nim.

Pewnego dnia — jak dziś pamiętam, mój dobry pan jakoś bardziej blisko siebie mnie trzymał — a szliśmy zwykłą drogą od dworu w pole.

W tem coś mi zapachniało, coś nawet zdaje się poszurpotało w trawach — niebo w nosie!

Tak jest — to kuropatwy — całe stadko — pewnie z 15-cie. Podkradam się coraz wolniej — stawiam nogi coraz ostrożniej, cudny zapach coraz bliżej — już mam skoczyć i zrobić wielkie zamieszanie, a tu sznurek mego pana się skończył, zaciągnął i słyszę ciche „waruj". Cóż mam robić? głos zmusza, a sznur zniewala. Leżę. Mordka pomiędzy przedniemi łapami, jak mię pan uczył, resztki ogonka tylko drgają — trudno, nie mogę tak odrazu w danej chwili znieruchomieć. Pan się zbliża, poklepał po cichu, układa mi uszyska na przednich łapach, położył ten brzydki skórzany korzeń łagodnie na mym grzbiecie i ostro choć cicho, powiedział: „Waarruj!" Muszę, niema co.

Pan zrobił wielkie koło i tuż przed moim nosem zrobił się gwałt, szum, pisk, chciałem się zerwać, lecieć, szaleć, ale głośnie „Waruj" przykuło mnię do ziemi. Dobrze zrobiłem — jak się pokazało.

Kurki uleciały, Pan mnie głaskał i klepał — wyciągnął z kieszeni kilometr kiełbasy — takiej wiejskiej krajanej — pycha i powiedział: „Dobry piesek" — gdybym miał długi ogon — byłbym nim rozwalił świat z radości. A więc o to chodzi — zrozumiałem!

Już nigdy nie płoszyłem kuropatw, wystawiałem przepiórki, nawet te, aż fe, chróściele (ścierwa).

Dobrze było — Pan zaczął strzelać i zabijać — nie moja rzecz. Musiałem przynosić to, co zabił. Nie lubiałem,

krew, pierze, czasem trzepocze się w pysku — trzeba wypluwać. Służba to służba.

Nie ma jednak radości życia, nie ma róży bez kolców. Djabli nadali, że ściągając, jak stary, wytrawny legawiec do stada kuropatw wyciekającego w marchwi, jakby na złość, tuż na lewo odemnie, wyrwał taki zwykły, szary zając. Tyle ich widziałem, tyle goniłem na durno, wiem, że zdrowego nie dogonię, a tu czort wie, co mi się stało — nie wytrzymałem. Furda kuropatwy, zając zającem i już. Jazda za nim.

Oh jak ten uciekał, jak ja się zmęczyłem! Jak przez sen słyszałem dobrze mi znany gwizd, nawet krótkie „Harro" — byłem nieprzytomny. Wnet jednak przytomność mi powróciła. Z ozorem na boku, obchlastany — własnym tropem, wracam, chcę memu panu powiedzieć, że ten durny zając na wyścigach biegał, a kury zostały i siedzą.

Dobrze się wybrałem.

Niech mu — memu panu nikt tego nie pamięta, jak mię zbił. 2 dni mnię bolało. — Byłem obrażony — jeszcze gorzej, chciałem się łasić — też nic.

Na trzeci dzień poszliśmy w pole. Wyrwał zając — ostre „Waruj" przykuło mię do ziemi. Dobry pan, bardzo dobry, podszedł, uściskał i powiedział: „Widzisz piesku, jak Ci powiem „apporte' albo „weź" to nawet kopyrę wolno ci przynieść — bez rozkazu nic — waruj i czekaj, tak, jak przy misce przed „pif."

Pan ma rację — zastosuję się do tego.

Djabeł w piecu pali!

Miałem taką sobie przyjaciółkę — nie tę pierwszą, jak foksterjerka biała w lesie, ale taką wcale, wcale — koker spanielka angielska, całkiem niczego.

Poszliśmy razem na spacer — niby nic — ot tak aby może coś, jak wiadomo. Nieoczekiwanie, z pod nosa wyrwał zając, jak koń, taki wielki. Ja robię waruj — ale moja przyjaciółka jak piorun za nim i „dziau-dziau". Oglądam się, pana niema. Dobra nasza, można ćwiczyć płuca, węch, wyrabiać muskuły.

To się łatwo opowiada, a trudno przebolewa. Durna suczyna tak dziaukała, że mój pan odrazu się połapał, o co chodzi i nim się spostrzegłem, jak lupus ex fabula, znalazł się w pobliżu. Strasznie „waruj" przykuło mię do ziemi, jak gwoździem.

O reszcie wolę zamilczeć; ale suczka swoje też dostała, choć słowa nie pisnąłem!

Próbowaliśmy jeszcze kilka razy tej zabawy — ale nie była warta grzechu i skórobicia.

Pomału wychowałem się. Przynosiłem memu panu ubite kuropatwy, bażanty, cietrzewie, wreszcie wolno mi było aportować króliki i nareszcie zające, a nawet lisy. Niech to djabli wezmą, co za uciecha, jak pies ma pełny pysk lisa lub zająca — człowiek może psa tego nawet nauczyć, ale niech spróbuje, co to za rozkosz — nie pozna się na tem.

Po pół roku umiałem wszystko. Nie mówię o takich zwykłych rzeczach, jak wystawiać zwierzynę, inaczej zapowiadać zająca, kury, przepiórki etc., ale umiałem służyć, podawać łapę — skakać na rozkaz przez byle co i ile kto chciał. Węch mię nie zawiódł nigdy. Chowano mi coś do łóżek, pod dywany, a ja zawsze znalazłem — mówili ludzie, że jestem „As" (to taka najlepsza karta u ludzi). Już nigdy nie byłem bity. Zrozumiałem, że mądrzejszy ustępuje — na najcichsze powiedzenie, najlżejszy gwizd, zrobiłem, co należy.

Tak mię szanowali, że aż strach. — Ja byłem panem całym pyskiem. Posiadłem świat. Nikt mi krzywdy nie zrobił — czyścili, pieścili, karmili, prowadzili na spacer, dogadzali.

Najtrudniej było, jak mój pan polował na grubą zwierzynę. Musiałem czasem godzinami leżeć cicho, często sam z płaszczem pana lub plecakiem. Wtedy na gwizd ani wołanie nie wolno było się ruszyć — aż pan sam przychodził. Innych miałem kąsać, niby broniąc pana i jego rzeczy. Gdy pan źle trafił jelenia lub rogacza, była moja wina, bo wsadzał mi rzemyk między wszystkie 4 nogi i kazał się ciągnąć po lasach, łąkach, polach, aż do rozpaczy. Dobrze jeszcze, gdy nosem przy ziemi szliśmy tak długo, aż się znalazło zwierzynę, ale czasem nic nie było można wywąchać. Wtedy pan był bardzo zły. Zabawniej bywało, gdy szukałem sam, a nie mogąc unieść, ani uciągnąć takiego bydlęcia, radosnym szczekaniem wołałem pana. On przybiegał i był bal — krajało się takie bydle i mnie coś kapło.

Umiałem wszystko!

Dobre było życie. Dobrzy byli państwo, dobra służba — dobry wikt.

* * *

Jestem ciężko chory.

Mój pan strasznie smutny, wciąż siedzi przy mnie, zdaje się, że Pani płacze.

Nie wiem, co zemną będzie.



Ks. Kanonik Adolf Sigmund

proboszcz Kościoła św. Elżbiety we Lwowie zmarł dnia 2 kwietnia 1933 w 76-tym roku życia.

Jakkolwiek ś. p. Zmarły, nie będąc myśliwym, do grona naszego nie należał, to jednak łączyły Go z Prezydjum i Wydziałem M. T. Ł. bardzo bliskie, a zawsze serdeczne stosunki.

Na czas bowiem jego rządów kościołem św. Elżbiety, przypadły roboty około fundowanego w tym kościele przez M. T. Ł. ołtarza św. Huberta.

W pracach tych doznawaliśmy zawsze ze strony ś. p. Zmarłego żywego poparcia i radosnej współpracy w zbożnem dziele.

Pozostawiając sferom duchownym i obywatelskim odpowiednie przykazanie pamięci wysokich zalet ś. p. Księdza Adolfa rzucamy tylko krótko:

Cześć przezacnemu Kapłanowi i Obywatelowi!



Inż. Dr. Kalm-Podoski

były członek Wydziału M. T. Ł. znakomity kinolog i myśliwy, szczery przyjaciel naszego Towarzystwa zmarł w Siemianowicach w dniu 30 marca br.

Cześć Jego pamięci!



Arcyksiążę KAROL STEFAN HABSBURG

członek honorowy M. T. Ł.

Zmarł dnia 8 kwietnia, na swym zamku w Żywcu.

Dla wielkich zalet serca i charakteru powszechnie ceniony, społeczeństwu polskiemu zawsze okazywał życzliwość. — W odrodzonej Polsce był admirałem floty w rezerwie, czuł się zawsze obywatelem polskim, czego na każdym kroku dawał dowody, nie tylko słowem lecz i czynem. Zmarł otoczony powszechnym szacunkiem społeczeństwa polskiego.

W rozległych dobrach swoich utrzymywał wzorowe myśliwstwo, w uznaniu czego Towarzystwo nasze obdarzyło Go jeszcze przed dwudziestukilku laty członkostwem honorowem.

Cześć Jego pamięci!

KORESPONDENCJE

Sprawozdanie delegackie z powiatu kolbuszowskiego.

Spełniając miły obowiązek delegata, przesyłam Szanownej Redakcji krótkie sprawozdanie łowieckie z mojego powiatu za sezon 1932/33.

Dnia 9 i 10 grudnia 1932, odbyło się polowanie w rewirze leśnym Lipnica, dzierżawionym przez Wojskowy Klub Łowiecki z Rzeszowa. Na obszarze 800 ha ubito przy udziale 18 strzelb 58 zajęcy, a chybiono trzy lisy i dwa cietrzewie. Jelenie wyszły bokiem, niestrzelane.

Na dzień przed polowaniem spadł obfity śnieg bez wiatru, wskutek czego utworzyła się na kulturach duża okiść i ta utrudniała pracę naganki, a myśliwym skuteczne strzelanie. Stan zajęcy w lesie dość słaby, głównie dlatego, że przytykające do niego pola znajdują się w rękach różnych spółek chłopskich. Polowanie zaszczycili dostojni goście z Warszawy, a to pp. generał Kazimierz Sosnkowski i generał Piskor.

Dnia 17 grudnia z. r., polowano w rewirze leśnym Zielonka o obszarze 200 ha. Przy udziale 12 myśliwych, padło 40 zajęcy i jeden lis. Stan zajęcy dobry, o 30—40% lepszy, niż w roku zeszłym.

Dnia 19 i 20 grudnia z. r., polowano w lasach Turzy i Trzebuski, mających 1.570 ha obszaru i ubito w 12 strzelb 172 zajęcy, 4 lisy, 4 rogacze i jednego koguta cietrzewia. Do rogaczy strzelano na podstawie zezwolenia władzy. Stan zajęcy bardzo dobry, rogaczy średni. Wprawdzie piękna pogoda dopisała, ale śniegu było mało i myśliwych za mało. Polowanie w rewirach turskich należy do najsympatyczniejszych w powiecie, dostarcza bowiem wielu zgoła niecodziennych emocyj i wielu interesujących przeżyć myśliwskich.

Rewiry: Zielonka, Lipnica, Turza i Trzebuska są własnością p. Jana Paska Doliwy z Błotnicy Błotnickiego z Dzikowca, który aczkolwiek sam niemyśliwy, łowiectwem w swoich lasach jednak szczerze się interesuje i zwierzynę swoją serdeczną opieką zawsze otacza.

Dnia 9 i 10 grudnia z. r. odbyło się polowanie w lasach p. Jerzego hr. Tyszkiewicza z Weryni. — W rewirach Kłapówka i Werynia ustrzelono w 10 strzelb 147 zajęcy. Stan tej zwierzyny dobry.

W dniach 13 i 14 stycznia b. r. polował na polach miejskich Sokołowa o obszarze 1556 ha Wojskowy Klub Łowiecki z Rzeszowa. W 14 strzelb ubito 194 zajęcy. Stan tej zwierzyny znakomity, ale kuropatw jeszcze lepszy. W każdym kotle widziało się ich stada, trudne do policzenia.

Ponieważ u nas przy sprzyjającej, to znaczy ciepłej i suchej wiośnie, zaczynają się lęgi kuropatw dość wcześnie, co najmniej o tydzień wcześniej, niż gdzie indziej, dlatego uzasadnionym byłby ich wcześniejszy odstrzał np. już od 20 sierpnia. Dla równowagi możnaby natomiast zamknąć polowanie na nie w połowie października, kiedy i tak wszelka przyjemność tych łowów sama z siebie ustaje.

Franciszek Dudek
delegat M. T. Ł. na pow. kolbuszowski.

Kraków, dnia 20 marca 1933.

Jako łowczy Tow. Myśl. „DIANA" w Krakowie, przesyłam sprawozdanie z ostatniego sezonu łowieckiego 1932/33.

Towarzystwo „Diana" urządziło w ubiegłym sezonie 8 polowań gremjalnych, a to:

22 X. 1932 w Sielcu pow. Bochnia w 4 strzelby, ubito 16 zajęcy i 1 kuropatwę.

29 X. 1932 w Brzeznie-Mokrsku pow. jędrzejowski, w 9 strzelb 41 zajęcy, 13 kur.

5 XI 1932 w Buczynie pow. Bochnia, w 8 strzelb, 2 lisy 30 zajęcy, 1 bażanta i 12 kur.

13 XI 1932 w 8 strzelb, 10 zajęcy (dzień ciepły deszczowy — polowano tylko w lesie, kiedy zwierzyna była w polu — brano mioty lisie).

26 XI. 1932, w Gierczycach, pow. Bochnia w 8 strzelb, 30 zajęcy i 3 kury. (W listopadzie strzelano kury za zezwoleniem województwa).

3 XII. 1932, w Michałowicach pow. Miechowskiego w 11 strzelb, 22 zajęcy.

10 XII. 1932 w Nieszkowicach pow. Bocheńskiego w 12 strzelb, 35 zajęcy i 1 bażanta.

30 XII. 1932, w Grabiu pow. krakowskiego, w 8 strzelb, 22 zajęcy, 2 kaczki, 1 jastrzębia.

Pozatem dnia 21 XII 1932, polowało Towarzystwo na terenie dzierżawionym przez pp. Tad. i Bol. Buszczyńskich w Bibicach ad Kraków, gdzie w 14 strzelb padło 123 zające.

W jesieni na polowaniach indywidualnych na ptactwo, strzelono na terenach dzierżawionych przez T-wo 77 kaczek i 267 kuropatw.

Stan kuropatw na wszystkich terenach dobry, na obszarze b. Kongresówki: Michałowice — Brzezno — Mokrsko, bardzo dobry. Stan zajęcy mierny.

Cześć Św. Hubertowi!

Dr. M. U. łowczy Twa

Zestawienie

zwierzyny łownej i szkodników, ubitych w Ordynacji Przeworskiej od 1 lutego 1932 do 1 lutego 1933.

Rogaczy 5, zajęcy 1643, bażantów 936, kuropatw 96, kaczek 17, słonek 7, przepiórek 11, królików 7; — razem 2.722 sztuk.

Lisów 1, tchórzów 16, borsuków 9, łasic 11, jastrzębi 85, sów 21, kruków 4, wron 488, srok 131, psów 107, kotów 157, czapel 25,

różnych 69; — razem 1.124 sztuk. Razem sztuk 3.846.

Wnyków znaleziono 203, strzelb odebrano 6, strzałowego wypłacono zł. 1.015,60. — Teren polowania wraz z dzierżawionemi gminami, około 35.000 morgów.

Kołomyja, dnia 22 marca 1933.

Odmienną i dziką niejako jest wiosna na Pokuciu, od innych miejscowości w Polsce.

Rwą potoki i szumią strumyki, a bulkoczą nawet zazwyczaj ciche ustronne leśne ruczaje i stojące, przykryte listowiem bagna. Coś się zmienia w przyrodzie i coś z dniem każdym słońce wyżej się wznosi, a na duszy błogo, że przecież znowu niezbadane „misterjum" przesuwa się przed oczyma i mimowiednie „dank" korny składa się św. Hubertowi za „już", a o „dalsze" się prosi.

Skowronki w tym roku zleciały już w lutym, a innego ptactwa „huk i multum" niezliczone. — Szpaki tysiącami obsiadły akacje i wogóle wyższe drzewa, chwaląc Boga swoim szczebiotem i miłym głosem, ciesząc się specjalnie w tym roku fenomenalnem słońcem, które faktycznie od 12 marca, mogłoby być w rekordzie z czerwcowem a nawet lipcowem.

Niestety! niedługo, bo zaledwie 10 dni prażyło i piekło.

Sarny już zrana pasą się na zielonej runi ozimin i niejako czują się „swojsko" na „przedwiośniu". Niemasz milszego obrazka ponad widok tych miłych sympatycznych stworzeń, co są chlubą i dumą lasów i pól naszych.

Nie wiem tylko co z marczakami, gdyż narazie ani „słychu ani dychu". Oby Bóg dał, by śnieg nawalny, który spadł właśnie w dniu przepisanej kalendarzowo wiosny i szalona wichura, nie były szkodliwe dla nich.

Szukałem po polach i dachach nawet, bociana, tego prawdziwego zwiastuna wiosny i dziwiłem się, że wśród spiekoty marcowej jeszcze go niema. — A dziś wśród zadymki nśieżnej podziwiam instynkt samozachowawczy tego ptaka ludowego, który bez barometru, termometru, kompasu i mapy — w swoim czasie i godzinie, jawi się do apelu i powraca w swe strony rodzinne, delektując się smacznemi żabami, a na dachu będąc, wydaje charakterystyczny klekot, wdzięczny za powrót i staropolską gościnę... i serce.

Stanisław Haleniak



SPROSTOWANIA.

W Nr. 7 „Łowca" z 1. IV. na stronie 82 w korespondencji „Stanisławów w marcu 1933" wiersz 25 od góry ma brzmieć „Pozatem na polowaniach w pojedynkę i na podjazdach padło 5 rogaczy, 1 lis, 42 zajęcy, 92 kaczek, 60 kuropatw, 2 bażanty, 20 przepiórek, 10 chruścieli, 21 słonek. — Na stronie 84 w artykule „Sprawy Towarzystwa" we wierszy 6 od góry nazwa miejscowości ma być „Markowcach" a nie Makowcach, zaś we wierszu 8 w Starych Brodach, a nie w Starych Brudach.

OD ADMINISTRACJI.

Dość często zwracają się do Sekretarjatu M. T. Ł. członkowie Łowieckich Tow. i inni o podanie nazwisk i miejsca zamieszkania, hodowców — zajmujących się tresurą psów myśliwskich (legawych).

By przyjść z poradą żądającym, prosimy tych Panów, którzy zajmują się tresurą — o podanie Administracji „Łowca", Lwów, ul. Osolińskich 11, I. p. 2 podwórze adresów i warunków pod jakiemi psy do tresury przyjmą.

—o—

KALENDARZYK MYŚLIWSKI: W kwietniu wolno polować: na głuszce koguty, cietrzewie koguty, słonki, bataliony, dzikie kaczory, dzikie łabędzie, dzikie indyki (samcy). **Wprowadzony czas ochronny w kwietniu** dla dzików, żbików, kun leśnych, (tumaków), norek i wiewiórek.

—o—

Wystawa psów rasowych przy Targach Wchodnich we Lwowie, odbędzie się w dniach 3, 4 i 5 czerwca b. r., staraniem Małopolskiego Tow. Łowieckiego we Lwowie.

—o—

W dalszym ciągu ogłaszamy nazwiska restantów podając sumę ich zaległości po koniec roku 1932.

Tomaszewski inż. Walenty zł. 99, Torosiewicz Klemens zł. 126, Tow. Łowieckie Halicz zł. 70, Tow. Myśliwych Chodorów zł. 63, Tow. Myśliwskie Czortków zł. 67, Tow. Łowieckie Jaworów zł. 54, Tow. Myśliwych Kołomyja zł. 81, Tow. Myśliwskie Ustrzyki Dolne zł. 98,50, Tow. Łowieckie Kopyczyńce zł 54, Tow. Ochrony Zwierzyny Łownej na Orawie Jabłonka zł. 108 Tow. Myśliwskie Przemyślany zł. 90, Tow. Myśl. Rohatyn zł. 171,50, Tow. Myśliwych Stanisławów zł. 72, Tow. Myśliwskie Trembowla zł. 72, Tow. Myśliwych Zaleszczyki zł. 141, Tyszkiewicz hr. Władysław zł. 54, Tyszkiewicz hr. Józef (delegat) zł. 90, Tyszkowski Adam zł. 146, Tyszkowski Józef zł. 212, Tyszkiewicz hr. Józef (delegat) zł. 54, Underka Władysław zł. 72.



TREŚĆ NUMERU 8:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie). Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32